Tom XIII. Nr. 13.

1. listopada 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Miłość synowska

Powiastka z dziejów polskich.

I.

Za panowania Zygmunta III króla polskiego, powstały w ojczyźnie naszej okropne wojny z Tatarami. Polska walcząc od wieków z tą barbarzyńską hordą, ochraniała przed nią Europę swą krwią i swem męstwem. Dzicz tatarska corocznie ponawiała swoje napady na polskie krainy, i nietylko że paliła i niszczyła wszystko, co jej w drodze stawało, ale i zabierała biedny lud w niewolę.

W tych to nieszczęśliwych czasach żył w wiosce Suliszewie na Wołyniu Krzysztof Strzemski z matką swoją zgrzybiałą staruszką. Był to pan poczciwy i dobry, jakiego jeno szukaj; przytem żołnierz odważny w potrzebie, a w spokoju gospodarz pracowity i staranny, zasłużył sobie na miłość i przywiązanie swoich włościan, dla których prawdziwym był ojcem, a na poważanie i szacunek u wszystkich, co go tylko znali.

Wieś jego leżała w okolicy, która podczas napadów tatarskich najrychlej ulegała splądrowaniu i zniszczeniu, strzegli się też tam wszyscy dobrze, i pilno mieli na baczności, by Tatar niespodzianie nie spadł na krainę, i by choć jakie takie przed straszliwym najazdem porobić przygotowania. A że wtenczas nie znali jeszcze ani wozów parowych, co to w godzinie przeniosą cię na kilka mil z jednego miejsca na drugie, ani też telegrafów, za pomocą których ludzie, oddaleni od siebie choćby na kilkadziesiąt mil, w jednej minucie piszą do siebie, i zaraz odpowiadają, więc każde sioło musiało mieć gdzieś na pagórku gotowe nałożone stosy chrustu, które pozapalane podawały prędziutko straszną wieść sąsiednim siołom. Te toż samo czyniły i takim sposobem mógł cały kraj w krótkim czasie dowiedzieć się o strasznem tatarskiem najściu.

Był to już późny wieczor, gdy w Suliszewie za chatami, na niewielkiej mogiłce, na której stos zaschłych drzew leżał, stał stróż nocny i niespokojnie coś poglądał a poglądał jeno w dal, gdzie czerniały chaty sąsiedniej wioski Cicho było w powietrzu, żadne drzewo nie zaszumiało, żadna trawka się nie zaruszała, jeno z daleka zalatywał odgłos dzwonów z cerkwi, i jakieś dziwne pomieszane gwary i krzyki!....

— Oj, to dzwonienie coś smutnego przepowie!... pomyślał sobie stary Tomasz i przeżegnał się pobożnie.

— Matko cudowna, miej nas w swojej obronie!... westchnął i zaczął szeptać cichutko modlitwę. Jeszcze nie wymówił całej „Zdrowaśki“, gdy hen tam w dali pod siołem buchnął jasny płomień. Stróż pobladł, zatrząsł się biedny i cicho jeno wyjęknął:

— Hą!... to Tatary napadli naszą krainę!... Boże miłosierny! Zmiłujże się nad nami biednymi!...

Prędko zapalił stos na kopcu i poleciał by o młodych jeszcze siłach ku cerkwi. Wkrótce ozwały się dzwony, zwiastując nieszczęśliwym mieszkańcom sioła bliską klęskę. Płacz i lament okropny rozległ się po całej wiosce; biedni wieśniacy wyprowadzali swój dobytek ze stajen, i uciekali w lasy, by się ukryć przed strasznym wrogiem.

Cóż się tymczasem we dworze działo?

We dworze pana nie było; jeszcze przed kilkoma tygodniami wyjechał on na wojnę, i w dalekiej gdzieś stronie gromił wroga, nie myśląc, że stara jego matka i kochani włościanie nie ujdą srogiej klęsce.

Zgrzybiała pani Strzemska padła na kolana przed obrazem Zbawiciela; modliła się długo i gorąco. Tak przeklęczała cały czas, dopóki Tatary do sioła nie wpadli.

Nie minęło dużo godzin, gdy krzyk straszny rozległ się na dziedzińcu, jasność jakby o dniu uderzyła w okna dworu, i dzika horda z okropnym okrzykiem „Ałła-hu!“ rozpoczęła mordy i niszczenie. Kilku brodatych siepaków wyciągnęło staruszkę ze dworu, a jeden ze starszych krzyknął do swoich:

— Hej!... zakujcie tej babie ręce i nogi i popędźcie do Krymu na wieczną niewolę!...

Nieszczęśliwa staruszka zajękła tylko cichutko, a łzy strumieniem polały się po zmarszczonej twarzy. Niewiele się już biedaczce żywota tego należało, to też serdecznie żal jej było, porzucać swoich ukochanych włościan, nie zobaczyć już i nie pobłogosławić nawet przed śmiercią jedynego syna, i zamiast na rodzinnem cmentarzu, złożyć stare kości daleko gdzieś na cudzej, pogańskiej ziemi. Nie było snać już jednak na to rady. Związali biedną, zakuli, nie dali nawet świętego krzyża na piersi zrobić, ta i pognali daleko w tatarskie kraje!...

Niedługo potem cicho i pusto już było w siole. Tatary popędzili dalej palić sioła, mordować bezbronny lud i zabierać nieszczęśliwych w straszną niewolę, a nad zasmuconą krainą polską zeszedł blady miesiąc, i mdłe światło rzucał na trupy i pogorzeliska....

Minęło kilka dni. Było to jakoś pod wieczor, słonko schylało się już ku zachodowi, kiedy drogą ku Suliszewu pędził jakiś jeździec, co koń jeno wyskoczy, aż ziemia głucho stękała. Przed wrotami spojrzawszy na gruzy i niedopaliska chat i dworu, ściągnął lejce i zawołał jeno boleśnie!...

— Jezus, Marya!... a więc i tu byli Tatary!... Biedna moja matko!...

Zakrył dłonią oczy i biedny zaszlochał głośno....

*

Był te Krzysztof Strzemski, syn nieszczęśliwej staruszki, co ją popędzili Tatary. Nieprzytomny pospieszył ku mogile, przy której kilku wieśniaków kopało grób zamordowanemu stróżowi.

Ze smutkiem ozwał się jeden z nich:

— Paniczu!... miły nam panie! za późnoście przybyli, bo wielkie nieszczęścia spadły na nasze sioło. Horda tatarska obrabowała i zniszczyła wszystko, ludzie jedni pouciekali w lasy, gdzie jeszcze się biedni ukrywają, drudzy pomordowani, aleć największe nieszczęście, że naszą ukochaną panię, a matkę twoją, co biedna nie zdołała już uciec i ukryć się w borach, zakuli w żelaza i uwieźli z sobą! —

Na tak okropną wieść, nieszczęśliwemu synowi, co za matkę ukochaną życie by swoje położył, jeno pociemniało w oczach, by o czarniuteńkiej nocy i straszny jęk wydobył się z piersi. On, co mężnie stawiał czoło na pociski nieprzyjaciół, co biegł zawsze śmiało w najgorętszy bój, na tak okropną dla niego wiadomość ugiął się i zajęczał, jak gdyby mu sto mieczów w serce biedne wbili Miłość synowska pokonała wszystko! Nie wchodzi on już do dworu, ale siada napowrót na konia, aby wyszukać matkę, żywą czy umarłą, choćby na końcu świata!...

— Bądźcie zdrowi!... jadę do Krymu!... za biedną moją matką! — mówi do swoich ludzi.

— Niech was Bóg miłosierny i Przenajświętsza Panienka szczęśliwie prowadzi! — szepczą włościanie ze łzami w oczach. A każdy jeno sobie myśli:

— Oto syn uczciwy i dobry! daj nam Boże takich więcej!

II.

Na wschód od naszej ziemi leży Krym wonczas jeszcze pod władztwem tatarskiem, dzisiaj już opanowany przez Moskala. Kraj ten od wschodu, południa i zachodu oblany morzem, od południa osłoniony wysokiemi górami, zamieszkują od dawien dawna i nawet po dziś dzień jeszcze Tatary, Turki, a w ostatnich czasach i żydzi. Ziemia tam urodzajna, jakiej nie wszędzie znaleść, poprzerzynana mnóstwem rzeczek, potoków i stru-

mieni, porasta wysoko zieloną trawą i burzanami, na której stada bydła się paszą. Drzewka tam choćby na lekarstwo to nie wyszukasz, a w zimie, która tam bardzo łagodna i krótko trwa, palą ludzie w piecach łodygami burzanów i innych zielsk, co tam sobie rosną niby drzewa wysoko. Choć grunt urodzajny chleba dawałby podostatkiem, jednak tam rolą ludzie się nie zabawiają, jeno najwięcej hodowlą bydła rozmaitego, które całe lato a nawet i zimę przepędza na zielonych stepach, pod gołem niebem. Huk tam na tych szerokich pastwiskach bydła rogatego, koni, owiec i wielbłądów, które na szerokiej zieleni stepu wyglądają by małe okręta na morzu. Gdzieniegdzie zobaczysz łany, zasiane tytoniem, albo oparkanione szerokie ogrody, pełne drzew figowych, migdałowych i daktylowych i zasadzone winogradem.

Do tego to kraju jechał nasz Strzemski. Przebył Ukrainę, przejechał Besarabię, wreszcie chersońskie i nogajskie stepy, i zmęczony i znużony podróżą przybył do Krymu. Ale cóż?... Krym szeroki i daleki, jak daleko okiem zajrzysz, stepy jeno i stepy sine -- gdzież więc tu szukać nieszczęśliwej matki, która może już i tak biedna gdzie w drodze skonała myśląc jeno u ukochanym synu?....

Tak to sobie myślał Strzemski, wjechawszy w krymskie stepy, i nie wiedział biedny co począć. Pyta jednego, drugiego, ale każdy Tatarzyn odpowiada mu po swojemu, że nie rozumie. Aż nareszcie gdzieś na futorku w głębokim już stepie przydybał swojego rodaka, pochwyconego w niewolę, co biedny pasał stada na stepie nielitościwym poganom.

Jakoś zaraz z oblicza poznał on w Strzemskim swojego, ta i pyta:

— Wy z Polski?....

A Krzysztof ucieszony i uradowany, że usłyszał ojczystą mowę, odpowiada:

— Witajcie miły bracie!... toż i wy ponoś także jak się patrzy, ztamtąd?...

— A jakże!... jam Polak rodowity, jeno pogany psie dusze porwali mnie w ciężką niewolę, taj każą biednemu zaprzeć się swoich i zapomnieć o ojczyźnie kochanej!...

A Krzysztof, co mu już na widok nieszczęśliwego brata omal że się na łzy nie zebrało, zapyta znowu:

— Ciężkaż wam bardzo, biedny bracie, ta pogańska niewola?

— Oj ciężka, bardzo ciężka!... odpowiada tenże — toć przecie nie na darmo śpiewają o niej ludzie w naszej ojczyźnie kochanej, że już

...Lepiej pójść na mary
Niż w niewolę na Tatary!..

— A wy co tu porabiacie? — pyta Strzemskiego.

— Ha! ot także pan Bóg dotknął mnie ciężko! odpowie Krzysztof i westchnie jeno żałośnie — Tatarzy zabrali mi matkę, słabą i staruszkę, więc jadę, by ją choć raz jeszcze obaczyć, ucałować jej ręce, i wydostać z niewoli żywą czy umarłą!...

— Oj ciężkoż to wam przyjdzie, ciężko!

— Ha! cóż robić! — ozwie się Strzemski — choćbym ostatnią koszulę miał z siebie zrzucić, choćbym własnem życiem miał nałożyć, muszę nieszczęśliwą matkę z rąk pogańskich wydrzeć!..

— To i jedźcie z Bogiem! — odpowie futorowy — niech wam Pan Jezus i Przenajświętsza Panienka w waszych zamysłach dopomoże!

— A nie wiecie też, gdzieby się to najpewniej udać? — pyta Strzemski.

— Ha! jedźcie do stolicy samego Hana tatarskiego, do Bakczyseraju!...

— Dziękuję za poradę miły bracie! — odpowie Strzemski — bądźcie zdrowi!... Panu Bogu oddaję!..

I pożegnawszy się z nieszczęśliwym rodakiem, pojechał. Kilka tygodni minęło, gdy przybył nareszcie do miasta władzcy tatarskiego. Z odwagą w sercu stanął przed Hanem i zawołał:

— Odbierzcie mi życie, ale wypuśćcie matkę moją!

Chciwa zysku władza tatarska, po długich targach zgodziła się na oddanie mu matki, ale za okupem tyla łutów złota, ile funtów matka zaważy. Kochający syn przystał na wszystkie warunki, a rozłakomieni obietnicą Tatarzy dozwolili mu się widzieć z matką i być przy niej. Ze łzami w oczach

przestąpił próg brudnej kaźni i nieprzytomny z głośnym płaczem ukląkł przy lichem, gnijącem już posłaniu, na którem stara, wycieńczona i umierająca leżała niewiasta.

— Matko moja!... wołał syn oblewając łzami zimne jej ręce, i tulił głowę na czarnej, wychudzonej piersi staruszki.

Ale ona już nie mogła do niego przemówić. Z wysiłkiem tylko podniesła się jeszcze, złożyła ręce na głowie syna, i w kilka chwil potem.. skonała. Możecie sobie wystawić, moi kochani, boleść nieszczęśliwego syna! Zapłacił Hanowi należytość, ubrał trupa matki starannie, a wziąwszy na własne barki, przysiągł zanieść je aż do rodzinnego swego sioła.

Co też sobie postanowił to i spełnił. Ze wsi do wsi szedł przez kraj tatarski z drogim swoim ciężarem, a nie mając już jednego grosza na pokrzepienie sił, bo go tak Tatary obrali, musiał wyciągać rękę po jałmużnę.

Lecz miłość synowska i u pogan znalazła uszanowanie. Znachodzili się ludzie, co hojną jałmużną obdarowywali Strzemskiego, tak, że niezadługo mógł już sobie kupić wózek, a złożywszy na nim trupa matki kochanej, ciągnął własnemi rękami aż do granic Polski. A gdy tak jechał, to kobiety tatarskie pokazywały go swoim dzieciom i mówiły:

— To Lach uczciwy i dobry syn! kochajcie i wy tak swoje matki!...

Po wielu a wielu trudach, cierpieniach i różnych przygodach przybył nareszcie do swej ojcowizny, gdzie go z otwartemi sercami czekali ukochani jego włościanie. Pochował zwłoki biednej matki na rodzinnym smentarzu w Suliszewie, osiadł potem w swojem siole kochanem i przeżywszy jeszcze długie lata w szczęściu i błogosławieństwie Bożem, umarł siwiuteńki już jak gołąb.

A na pogrzebie niejeden chłopek płakał żałośnie i powtarzał:

— Oj, dobry i poczciwy był to panisko, cnotliwy syn, a w boju odważny żołnierz.... Daj mu Boże za to szczęśliwość wiekuistą!

Tomek z nad Styru.

Gadka o trzech synach starej Marty.

Hej trzech synów we wioszczynie jedna matka miała —
Jakby sosny w dworskim lesie równo wychowała

Pracowici i uczciwi i z prawości znani —
Wieś ich czciła — pan szanował — i lubiła pani...

Gdy szli razem do kościoła, kraśniały dziewoje —
Każdy hoży — każdy poczciw — i ma wiano swoje...

Gdy szli razem na robotę — wzdychali ojcowie —
Czy też który o ich dziewy grzeczne słowo powie...

Gdy szli razem na cmentarek, gdzie ich stary leży,
Błogosławił w duszy proboszcz, wskazywał młodzieży...

Hej trzech synów we wioszczynie jedna matka miała
Jakby sosny w bujnym lesie równo wychowała...

A w sąsiedztwie komornica mieszkała uboga —
I nic u niej — tylko bieda — i dziewoja droga —

Hej dziewojaż to, dziewoja, kraśniejsza od róży —
Od dnia bielsza — a tak jasna, jak słonko po burzy.

Zaglądali parobczaki z całej wsi w okienko —
Jeden westchnął, ten się zaśmiał — ów powitał ręką.

Ale Zosia jak z kamienia — jak bez serca dziewa —
Do nikogo nic nie powie — nigdy nie zaśpiewa...

Hej trzech synów we wioszczynie jedna matka miała
Jakby sosny w bujnym lesie równo wychowała...

A w sąsiedztwie komornica mieszkała uboga,
Każdej chwili inny z braci u dziewoji proga.

Pyta starszy, czy go kocha — Zosia nie powiada —
Pyta młodszy, czy go zechce — ale mu nie rada —

A najmłodszy choć nie pytał — rozpoznał dziewoję,
I kochali się okrutnie, jąkby ptasząt dwoje.

I widzieli obaj bracia, co się w chacie święci —
I widzieli że go Zosia jedynego nęci —

Coraz rzadziej byli razem, — w chacie ciągłe swary —
I płakała matka siwa — płakał w grobie stary —

I poczęli kląć swej chacie, na obrazę Bożą,
Już codziennie w karczmie piją — śmiercią sobie grożą...

Hej płakała długo Zosia — płakała nieboga,
I modliła się w kościele i prosiła Boga —

I modliła się Zosienka i w nocy i we dnie —
Zagniewani widzą bracia, jak jej liczko blednie —

Więc na radę Dobrodzieja — opuszczają siolo —
Aż dwanaście razy cztery niedziel zbiegnie w kolo...

Opuszczają wieś trzej bracia — w stałości niezłomni,
Ten Zosienkę z nich otrzyma, kto jej nie zapomni.

Już dwanaście razy cztery niedziel we wsi mija —
A przed chatą komornicy cała wieś się zwija —

Z okieneczka bije światło — lecz tak cicho w domu,
I radości coś nie widać na twarzy nikomu...

Od północy na siwoszu hen wędrownik leci —
Od zachodu idzie drugi — a od wschodu trzeci —

I zdążyli ku chatynce, gdzie okienko Zosi,
Lecz ich jakoś nikt nie wita, do izby nie prosi...

I spojrzeli na się gniewnie — i trzej się poznali,
I wrócili tacy bracia, jako się rozstali....

I trzej razem weszli gwarno — i trzej się zachwieli —
Hej na środku izby trumna, a w niej Zosia w bieli —

Hej na środku izby trumna ze sosnowej deski,
A w niej Zosia leży blada, a w jej oczach łezki...

Hej trzech synów we wioszczynie jedna matka miała,
I trzech synów stara macierz naraz postradała..

Jeden umarł gdzieś daleko, nikomu nie znany,
A nad grobem mały krzyżyk stoi wyciosany —

Drugi poszedł na obczyznę — nie ma o nim słychu —
Że się sprzedał Moskalowi — coś gwarzą po cichu —

Trzeci poległ z rąk moskala od sercowej rany —
A był z braci to najmłodszy — Zosienki kochany...

Gabryś z Urbanowic.

Nagroda.

Powieść.

II.

Kilka lat minęło od czasu, kiedy Onufry Sławecki przyjął na wychowanie sierotę Karolka i dał go do szkoły do miasta. Ciężkie to były lata dla poczciwego Onufrego. Miał nieborak sam tylko tyle, ile mu potrzeba było, aby się jako tako wyżywić — a tu tym mizernym kęsem chleba trzeba było podzielić się jeszcze z Karolkiem. A możecie sobie łatwo wystawić, co to kosztuje chłopak w szkole. Na odzież, na książki, na papiery, na życie trzeba wyłożyć grosz znaczny, a zkąd go wziąć biednemu?

Prawdziwe też to było szczęście, że Karolek sam także pracował na siebie, ile mu sił stało. Jak już wiecie, dał mu profesor, co był starym znajomym Onufrego, daremne pomieszkanie i jaką taką łyżkę strawy — a Karolek ucząc się pilnie uczył także niektórych chłopców, przepisywał rozmaite pisma i tym sposobem zarabiał sobie jakiś grajcar. Na resztę zaś, to jak mógł ściągał się biedny Onufry.

Już Karol miał lat kilkanaście, poduczył się już nielada i nabył wiele mądrych wiadomości. Onufrego kochał i szanował jak ojca i modlił się zawsze do Pana Boga, aby mu dopomógł dorobić się czego w życiu, żeby potem swemu dobroczyńcy mógł się dobrze odpłacić.

Tak stały rzeczy, kiedy Karol przyjechał z miasta do Jałowicy. Ucieszył się bardzo Onufry, że jego wychowanek i wy-

rósł i zmądrzał, że dobrym i bogobojnym jest chłopakiem i myślał sobie:

— Ot śmieli się ze mnie ludzie, żem ja nędzarz podjął się żywić tę sierotę i aż mnie warjatem za to nazwali, a przecież kto wie, czy mi biedny chłopiec za to w starości nie odpłaci!....

I nietylko w starości, ale już teraz odpłacił się sierota Karol jak mógł, swemu dobrodziejowi pomagał we wszystkiem, czy to w szkole dziatki wiejskie uczyć, czy to w gospodarstwie około domu. Karol choć biedował w mieście bardzo, przecież i nie dospał i nie dojadł, aby tylko na jaki podarunek dla Onufrego i jego córki się ściągnąć. Przywiózł też i dla swego dobrodzieja i dla Zosi, która przez ten czas i wyrosła i wyładniała bardzo, małe podarunki z miasta, z czego też była uciecha w domu. Toż i Onufry wesoł był i cieszył się sierotą, jak synem i mawiał:

— Choćby i tak zostało zawsze jak jest, to mam dobrą nagrodę, bo wiem, żem spełnił dobry uczynek, a to najdroższy skarb na świecie!...

Oj miał słuszność poczciwy Onufry!... Kto spełni w życiu jaki piękny i cnotliwy uczynek, tego Bóg już tem sowicie nagradza, że mu w serce wlewa spokój, radość i szczęście, a to lepsze jest daleko i tysiąc razy warta więcej, niż złoto, srebro i klejnoty!...

Jedno tylko dojmywało Onufremu i rodziło w jego duszy troskę, że nie będzie miał z czem wyprawić Karola do szkoły, bo się biedaczysko już i wysprzedał z wszystkiego, i choć myślał dniem i nocą, żadnej rady na to wymyślić nie mógł.... Ale i tę swoją zgryzotę ofiarował Onufry Panu Bogu, zdając się na wolę jego świętą i poratunek cudowny!

I nie zawiódł się zacny ten człowiek, bo kto na Bogu buduje, tego Bóg nie opuści... Posłuchajcie jeno co się dalej stało...

Było to jakoś pod wieczor, Onufry siedział i dumał o Karolu, bo już się czas zbliżał, aby go wyprawić znowu do szkoły do wyższej klasy, Karol zaś siedział koło niego i czytał głośno jakąś piękną książkę, którą przywiózł z sobą z miasta, a Zosia

szyjąc pilnie słuchała, kiedy nagle ode wsi odezwał się wielki turkot i kurzawa prochu powstała na drodze. Onufry przestał dumać, Karol ustał w czytaniu, a Zosia zatrzymała igłę, i wszyscy troje popatrzyli ku drodze, aby zobaczyć kto taki jedzie, kiedy naraz widzą, jak prześliczny powóz czterma końmi zajeżdżał do wsi i zatrzymał się akuratnie przed samem domostwem Onufrego.

Onufry podniósł się z siedzenia i poszedł ku wrotom, aby się dowiedzieć, czego ta kareta stanęła koło niego, kiedy z powozu wysiadła jakaś bogata pani w starszym wieku i prosto weszła na podwórze.

Onufry ukłonił się nisko i zdziwiony patrzał się na takich wielkich gości — a bogata pani tak go się pyta:

— Czy tu mieszka nauczyciel tej wsi, Onufry Sławecki?...

— Tak jest wielmożna pani! — odpowiedział Onufry — ja jestem nauczycielem tutejszym...

Rzekłszy to zaprosił nieznajomą panię do izby. Pani usiadła i zaczęła tak rozmowę:

— Przed kilku laty była w tej wsi na żętycy pewna pani chora....

Przy tych słowach pokręciły się w oczach nieznajomej pani łzy żałości....

— Tak jest — odpowiedział Onufry — była tu nieboga... i tu umarła....

— Umarła!... — powtórzyła pani i wybuchła głośnym płaczem — dowiedziałam się już o tem. Umarła biedna w nędzy i zostawiła po sobie sierotę, małego chłopczyka....

— Tak jest, łaskawa pani — odpowiedział Onufry — zostawiła syna imieniem Karol. Matka jego zwała się Żalicka.

— Ten syn jest u pana — mówi mu ta pani i ciągle łzami rzewnemi się zalewa — pan to byłeś tak dobry i tak zacny, że przyjąłeś do swej ubogiej chaty obcą sierotę i podzieliłeś się z nią ostatnim kawałkiem chleba! O niech panu to Bóg wynagrodzi! Oto widzisz pan, ja jestem matką tej biednej zmarłej wdowy, a Karolek to mój wnuk....

Onufry nie mógł nic przemówić z zdziwienia a tymczasem pani mówiła dalej:

— Gdzież jest ten biedny sierotka, gdzie jest mój wnuk, chcę go widzieć jak najprędzej i przytulić go do mego serca...

Onufry wybiegł na podwórze i przywołał Karolka. Ledwie go ujrzała pani, rzuciła się ku niemu z otwartemi ramionami i ściskała go i całowała, a z oczu jej łzy się lały z wielkiego rozczulenia....

Karolek nie wiedział, co to ma znaczyć, i zdziwionem okiem spoglądał na obcą, bogatą panię, gdy ta otarłszy łzy i odetchnąwszy tak poczęła mówić:

— Dziwne wam się to wszystko wydaje, ale wytłumaczę wam to zaraz. Ty Karolku jesteś moim wnukiem. Straciłeś matkę biedną, kiedyś był dzieckiem, Bóg ci dał dobrotliwego opiekuna w tym zacnym człowieku, a teraz zsyła mnie, abym zakończyła twoje sieroctwo... Smutna to historja mojej córki, która tu w nędzy między wami umarła. Bóg widzi, ile mi to łez, ile boleści kosztowało!

Oto tak się rzecz miała.... Jestem hrabina Żalicka, matka Karolka była jedyną moją córką. Mąż mój chciał ją wydać za pewnego bogatego pana, co się starał o nią bardzo, ale nieboszczka pokochała innego ubogiego młodzieńca, co się z małego urzędu żywił i nikomu tylko jemu chciała należeć. Ojciec naciskał na nią, aby szła za bogatego pana, gniewał się okropnie, że nie chciała, a w końcu bez woli dziewczyny przeznaczył termin ślubu. Córka moja płakała i błagała ale nadaremnie!...

I oto co się stało. Jeszcze nie nadszedł był dzień, w którym ślub z bogatym panem miał się odbyć, kiedy córka moja uciekła z domu naszego, wzięła bez naszej wiedzy ślub z swym kochankiem i znikła z swym mężem bez śladu... Ja chętniebym była przebaczyła mojej córce, bo na serce i miłość nie ma rady, ale mąż mój srodze się rozgniewał, przeklął nieposłuszną córkę i przysiągł, że już nic o niej w życiu ani słyszeć ani wiedzieć nie chce...

Mitygowałam mego męża i wstawiałam się za nieszczęśliwą córką — a tymczasem dowiadywałam się, gdzie się podziała, ale ani męża przebłagać ani córki znaleść nie mogłam.

Pojechaliśmy potem za granicę, ja choć ukradkiem chciałam posełać mojej córce i jej mężowi wsparcie, ale nigdzie

odszukać jej w kraju nie mogli. I trudno też było odszukać, kiedy męża jej posłali na urząd jakiś aż do Węgier.... Tak minęło nam kilka lat za granicą.... Mój mąż tam umarł, a na łożu śmiertelnem żałował mocno, że się wyrzekł swej córki!....

Wróciłam tedy do kraju i tu dopiero dowiedziałam się niedawno, że moja córka owdowiała, że mąż zostawił jej syna, i że sama biedaczka umarła w nędzy gdzieś w górach.. Długo jeździłam, aby wynaleść przynajmniej wnuka i grób mej córki i oto aż dopiero teraz Bóg mnie tu do was zawiódł....

Kiedy hrabina skończyła opowiadać, poczęła znowu mocno płakać i całowała Karolka, a Karolek też zapłakał.... Onufry zaś i jego córka z rozczulonem sercem przypatrywali się temu wszystkiemu....

— Tak to Bóg nas sprawiedliwie pokarał — rzekła dalej pani — córkę naszą za nieposłuszeństwo woli rodzicielskiej, nas rodziców za to, żeśmy gwałt zadać chcieli sercu dziecka.

Kiedy przeminęły płacze i witania, kazała pani zajechać swemu forysiowi na podwórze Onufrego, i rozpakowała swoje rzeczy, mówiąc:

— Kiedyś panie Onufry był tak litościwy dla mego wnuka, przyjmże i mnie na kilka dni w gościnę, nim się ułożymy o dalszy los Karolka.

Onufry odstąpił zaraz jedną izbę dla hrabiny, która zaraz posłała do miasta, zakupić w obfitości wszystkiego, co tylko potrzeba było dla domu, i chatka uboga Onufrego nie zapamiętała nigdy takiego dostatku, jak teraz.

Na drugi dzień rozpoczęła hrabina z Onufrym taką rozmowę:

— Jesteś pan zacnym i litościwym człowiekiem, jakiego trudno znaleść dziś między ludźmi! Wspierałeś ile możności mą córkę biedną, wziąłeś w dom sierotę po niej i jak ojciec rodzony dbałeś o jej dobro.... Powiedz czem ci to wynagrodzę, bo choć jestem bogatą, to czuję, że nie potrafię odpłacić się za twój piękny uczynek! Taką cnotę tylko Bóg umie wynagradzać, na świecie nie ma takich skarbów, coby jej były warte...

— Ja też nie pragnę innej nagrody, jeno bożej — odpowiedział Onufry.

— Zacny człowieku! — odpowiedziała hrabina — tyś był ojcem dla Karolka, kiedy on był ubogą sierotą, bądź mu i teraz ojcem, kiedy został panem bogatym. Jedź z nami do miasta, my cię będziemy kochać i pielęgnować, jak naszego dobroczyńcę!

— O nie — odpowiedział Onufry — dziękuję za tę dobroć, ale ja już nie porzucę tej wioski! Żyłem tu tak długo i tu kości moje złożę.... Kto wie, coby się stało z dziatkami wiejskiemi, gdybym je porzucił, kto wie, czyby tu był po mnie jaki drugi nauczyciel, coby je uczył i wychowywał!... Nie opuszczę ja mojego obowiązku, Karolek niech jedzie z panią a ja zostanę z moją Zosią, jak dawniej....

— Nie, to być nie może! — zawołała hrabina — kiedy już sam chcesz tu koniecznie pozostać, to daj mi pan swą córkę.... to dziewczę młode i piękne, widać że jej Bóg dał rozum nad wiek i stan. Pan nie masz za co ją wychować jak się należy, przyjmuję ją więc do siebie na wychowanie...

Onufry ucałował ręce hrabiny i zgodził się na to żądanie, bo uznawał to sam, że jego Zosia warta była lepszej doli.... Ułożono więc tak, że Zosia i Karol pojadą z hrabiną. Onufremu zaś dała hrabina wielką sumę pieniędzy. Nie chciał jej przyjąć Onufry, ale kiedy go począł sam Karolek prosić serdecznie, aby to wziął od niego, nie mógł się wymówić. Jeszcze kilka dni zabawiła hrabina w chacie Onufrego, aż wreszcie przyszedł czas rozstania. Karolek i Zosia wsiedli do pojazdu z hrabiną i pojechali — a co było przedtem płaczu i pożegnania, to już łatwo się sami domyślicie.

III.

Kiedy hrabina odjechała z Karolem i z Zosią, zrobiło się smutno w chacie Onufrego, a jeszcze smutniej w jego sercu. Został sam jak lipa przy drodze. Markotno mu było bardzo, nudził się i błąkał po pustych izbach zafrasowany. Na szczęście i Karol i Zosia pisywali często listy do Onufrego, a w tych pisaniach zawsze było dla niego tyle serdecznej miłości, że stary Onufry powtarzał sobie:

— Kto się doczekał takiej córki, jak moja Zosia i ma takiego wdzięcznego wychowanka jak Karol, temu nie może być źle na świecie....

I ot tak powoli zbiegło czasu kawał duży, i znowu kilka lat przeleciało, jak z bicza trzasł. Przez ten czas tylko raz przyjechali do Onufrego w gościnę Karol i Zosia, a Onufry zato jeździł do nich do miasta raz w każdym roku. Widział on tam z wielką radością serca, że jego córka za łaską hrabiny uczyła się wszystkiego, co tylko panny z wyższego stanu umieć mają — a nie mało cieszyło go też i to, że Karol nigdy nie przestał go kochać i szanować, i choć teraz wielkim panem

i hrabią został, zawsze był dla niego dobry i wdzięczny jak syn dla ojca.

Tak mijał czas, kiedy raz Onufry nie dostał przez kilka miesięcy żadnego pisania ani od córki ani Karola. Markotno mu się bardzo zrobiło, że tak o nim zapomnieli i troski zaczęły nachodzić jego serce.

— Kto wie może już i moje dziecko, jak się dostało pod pańskie wychowanie, zapomniało o mnie — mawiał sam do siebie — a zresztą kto wie, na co się przyda mojej Zosi takie wielkie wychowanie, ona biedna sierota, tylko do pracy stworzona, toć potemu, kiedy przyjdzie pobiedować, będzie jeszcze nieszczęśliwszą na świecie!....

Tak się biedził i troszczył Onufry, kiedy pewnego dnia zaturkotało mocno coś we wsi i prosto na podwórze jego zajechało dwie karety. Onufremu serce zabiło radośnie, wybiegł naprzeciw — a tu z karety jednej wysiada hrabina z jego córką, a z drugiej Karol.

Zosia rzuciła się zaraz w objęcia ojca a Karol także ucałował ręce swego dobrodzieja. Kiedy się już rozgościli w chacie i siedzieli razem w izbie, rzekła hrabina:

— No moje dzieci, pamiętajcież, pocośmy tu przyjechali!

— Na te słowa Karol powstał z ławy, wziął za rękę Zosię, która się zarumieniła jak róża, klęknął z nią razem przed Onufrym i rzekł:

— Dobrodzieju mój! prosimy cię o błogosławieństwo!...

Onufry aż przemówić nie mógł z wielkiego wzruszenia i patrzył to na Zosię, to na Karola, to na hrabinę, aż hrabina tak mówi do niego:

— Tak mój panie Onufry. Mój wnuk pokochał twoją córkę i prosi cię, byś mu ją dał za żonę. Ja zezwoliłam już na to i dałam parze błogosławieństwo, teraz pobłogosław ty zięcia i córkę!

Onufremu puściły się łzy z oczu. Pobłogosławił młodą parę a serce jego było pełne radości i szczęścia....

Wkrótce odbyło się wesele, a odbyło się w chacie Onufrego, bo tak koniecznie chcieli Karol i jego babka. Niedługo też potem zakupił hrabia Karol wieś Jałowicę i tak wszyscy ci poczciwi ludzie żyli razem w tej wiosce i doznawali tego szczęścia, którem pan Bóg czasem już na świecie nagradza dobre uczynki i cnoty.

Wojtek ze Smolnicy.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.